

Zaczęło się od tajemnic, które – podobnie jak dobrzy dziadkowie – pochodzą z obu stron: ojca i matki. Tajemnicę ze strony ojca Ewa M. nazwała „tym, co wydarzyło się nocą w ogrodzie”.

Po ojcu zostało jej kilka rzeczy: zdjęcie ze śladem pieczętki w prawym dolnym rogu (musiał je wydrzeć z legitymacji szkolnej albo książeczki wojskowej), zegar z kukułką, który z każdym tyknięciem udaje żywy, lampka ze złoto-rubinowym abażurem, która rozświetla pokój jesiennym światłem.

Ma też jedno wspomnienie, wyraźne. W centrum jest on – wysoki i szczupły. I dom, chyba ich wspólny, jeśli kiedykolwiek taki istniał. Musiała mieć wtedy dwa albo trzy lata, nie więcej. Idzie w stronę drewnianego płotu, schyla się i zrywa kilka gałązek koperku.

Jego czerwone ołówki – o, je pamięta – ułożone były na półkach.

Być może przyszli już po zmroku, gdy zamglone pasmo pobliskich gór powoli znikало za oknem. Być może czymś go ogłuszyli. Być może próbował uciec.

A może – jak chcą niektórzy – za dużo wypił, a tamtej nocy przyszły duchy, nie ludzie.

Nigdy nie rozmawiała o tym z matką. Raz tylko może matce, a może babci, wymusknęło się, że ojca znaleźli martwego.

Jedna tajemnica przechodzi w drugą.

Tę drugą tajemnicę Ewa streściłaby jednym zdaniem: „Mama chyba chorowała psychicznie”. Chyba – bo o tym też nigdy nie rozmawiały.

Tajemnice, zwłaszcza te rodzinne, mają swoich strażników: „Po co ci to?”, „Nie ma do czego wracać”, „Ważne jest to, co tu i teraz”.

Próbowała rozwikłać tajemnicę matki. Zaczęło się od tego, że gdy miała cztery lata, zamieszkała z babcią i dziadkiem w dużym mieście, a mama przeprowadziła się do innej miejscowości, w której nikogo nie знаła. Podobno przez długi czas była w szpitalu. Podobno był to szpital psychiatryczny.

Kiedy Ewa była mała, nie wiedziała, co to choroba psychiczna. Wiedziała za to, a raczej nauczyła się, głównie za sprawą babci, by pewnych tematów przy mamie nie poruszać. Na przykład nie pytać o ojca.

Opanowała też sztukę przeproszania. „Idź, przeproś mamę” – słyszała od babci nieraz, choć czuła, że nie ma za co przeproszać i że ze smutkiem mamy nie ma za wiele wspólnego.

Ewa najlepiej znała taką mamę: smutną i nieobecną. Ale pamiętała też inną: taką, która puszczała z nią latawce albo bawiła się w berka na trawie.

Najbardziej lubiła, kiedy siedziały z mamą obok siebie, a ona chwyciła Ewę za jej mały łokieć i trzymała ją za niego.

Gdy miała siedem lat, zamieszkały razem w jednopokojowym mieszkaniu z niewielką kuchnią i łazienką. Matka pracowała wtedy na zmiany, ale zamiast jednego dyżuru czasami brała dwa. Wychodziła o siódmej rano, wracała po dziewiętnastej. Siadała zwykle na wersalce, paliła papierosy, piła czarną, gorzką, mocną herbatę. Gdy Ewa chciała porozmawiać, matka brała gazetę i chowała się za jej płachtą.

Ewa próbowała opowiadać o szkole, o tym, że dzieci znają się już z przedszkola albo po sąsiedzku, a ona jedna jest tam nowa i może dlatego patrzą na nią jakoś tak podejrzliwie. I że ostatnio ktoś jej wbił cyrkiel w plecy.

Matka nie reagowała albo odpowiadała półsłówkami. Ewa po jakimś czasie zrozumiała, że gazeta jest jak mur, który z jakiegoś ważnego powodu wyrósł między nimi. I że nie ma co go forsować każdego wieczoru.

Wchodziła pod prysznic, ale nie odkręcała wody. Stała tylko pod deszczownicą i zastęgała, sama nie wie, na jak długo. Albo szła do lasu, a im dalej od ludzi, tym czuła się bezpieczniej.

Ze szkoły najlepiej pamięta lekcje wuefu. Nie lubiła ubrań, które przyklejały się do spoconego ciała i w ten sposób je odsłaniały. Nie lubiła tego, że jedna osoba wykonuje jakieś ćwiczenie, na przykład skacze przez kozła, a pozostałe na nią patrzą. Ani tego, że nikt nie rozumie, dlaczego nie potrafi zawisnąć na drabinkach i stanąć na rękach.

– Jesteś gruba – powiedziała Ewie pewnego dnia matka.

## 2.

Co z takimi słowami matki może zrobić kilkuletnie dziecko?

Ewa próbowała różnych rzeczy. Najpierw przyglądała się, dość niepewnie, innym zdaniom, które słyszała już wcześniej i które nagle zaczęły pasować do tego nowego: „Jesteś gruba”.

Gdy jeszcze mieszkała z babcią i dziadkiem, matka mówiła: „Służą ci te babcine obiadki”. Często powtarzała to zdanie. Ewa analizowała: obiady były codziennie, jedno danie albo dwa dania. Co w tym złego? Regularne. Wcale nie takie tłuste. No, może czasem smażone mięso. Ale przecież wszyscy jedzą takie

obiady i nikt ich nikomu nie wypomina. Jedyne ciepły posiłek w ciągu dnia. Poza tym była dzieckiem, skąd miała wiedzieć, czy je dużo, czy za dużo. A może matce chodziło o to, że ona sama za często nie gotowała? Gdy zamieszkały razem, zamiast gotować, dawała córce kilka złotych na kanapkę albo frytki w przydworcowej smażalni.

Zdarzyło się, że przed przyjęciem urodzinowym babcia włożyła do piekarnika prociż z pizzą, a ona odliczała minuty, aż się zjawią goście. A potem godzina, którą zapisała na zaproszeniach urodzinowych, minęła, minął kwadrans, minęło dwadzieścia pięć minut, minęła godzina. Nie przyszła żadna zaproszona koleżanka, jakby się zmówiły. Ewa właściwie nie była głodna, ale zjadła prawie całą pizzę. I matka to zapamiętała. Od tamtego czasu, gdy tylko na stole pojawiał się jedzenie, obserwowała, ile córka nakłada na talerz, a potem szybko zanosila resztę jedzenia do kuchni. Nie pozwalała na dokładkę.

Ewa wyjmowała też albumy ze zdjęciami, przeglądała jedno za drugim, uważnie. Na żadnym ze zdjęć nie była z tatą. Zaczynała od tych najdawniejszych, jeszcze z czasów, kiedy mieszkała z dziadkami. Ewa nie lubiła świąt, bo o ile na co dzień w domu było nerwowo, to w święta było nerwowo jeszcze bardziej. Na zdjęciach klasowych robionych co roku przez fotografa, który ustawiał dzieci i rozśmieszał, Ewa nie wyróżnia się wcale, nie jest większa od innych dziewczynek.

Po liceum zaczęła obserwować matkę i jej kolejne pomysły na własne odchudzanie. Ważyła wtedy ponad pięćdziesiąt kilogramów przy niskim wzroście, a ciągle stosowała diety. Ewa zachęcała ją: „Zjedz coś ciepłego”. Prosiła: „Przestań ciągle tylko to razowe pieczywo”. Ale matka nie słuchała.